



Erich Segal



PROLOG

Z jednym wyjątkiem wszyscy byli biali. I z wyjątkiem pięciu kobiet byli to sami mężczyźni.

Niektórzy byli wybitni na granicy geniuszu. Inni byli geniuszami na skraju szaleństwa. Jeden z nich miał recital wiolonczelowy w Carnegie Hall, a inny przez rok grał zawodowo w koszykówkę. Sześciu pisało powieści, z których dwie nawet zostały opublikowane. Jeden był niedoszłym księdzem. Inny był wychowankiem zakładu poprawczego. Wszyscy byli śmiertelnie przerażeni.

Tego słonecznego wrześnieowego poranka 1958 roku połączył ich status studentów pierwszego roku Harvardzkiej Szkoły Medycznej. Zebrali się w sali D, aby wysłuchać powitalnego przemówienia dziekana Courtneya Holmesa.

Rysy jego twarzy mogłyby widnieć na rzymskiej monecie. Jego sposób bycia sugerował, że urodził się ze złotym zegarkiem na łańcuszku zamiast pepowiny.

Nie musiał prosić o ciszę. Uśmiechnął się tylko i widzowie zamilkli.

— Panowie — zaczął. — Oto rozpoczynacie wspólnie wielką podróż do granic medycznej wiedzy, gdzie zaczniecie swoje własne badania tego jeszcze nieodkrytego terytorium cierpienia i choroby. Ktoś z was, siedzących tu teraz na sali, być może wynajdzie lekarstwo na białaczkę, cukrzycę, liszaj rumieniowaty lub śmiertelne jak wielogłowa hydra nowotwory...

Zrobił idealnie wyliczoną przerwę dla zwiększenia efektu, a potem z błyskiem w bładoniebieskich oczach dodał:

— Może nawet lekarstwo na zwykłą gripę.

Śluchacze zaśmiali się z uznaniem.

Siwowłosy dziekan pochylił głowę, może na znak głębokiej zadumy. Studenci czekali w napięciu.

Kiedy w końcu spojrzął na nich i znów zaczął mówić, jego głos był cichszy, niższy o oktawę.

— Pozwólcie, że zakończę, wyjawiając pewien sekret — równie upokarzający dla mnie, jak i dla was.

Odwrócił się i napisał coś na znajdującej się za nim tablicy.

Dwie proste cyfry — liczbę dwadzieścia sześć.

Salę wypełnił pełen zdumienia gwar.

Holmes zaczekał, aż znów zapadnie cisza, nabrał tchu, a potem spojrzął na urzeczone audytorium.

— Panowie, zachęcam, żebyście dobrze to sobie zapamiętali — na tym świecie są tysiące chorób, lecz medycyna w sposób empiryczny potrafi wyleczyć tylko dwadzieścia sześć z nich. Reszta to... czysta zgadywanka.

Na tym zakończył.

Wyprostowany jak żołnierz z gracją sportowca opuścił podium i salę.

Tłum był zbyt oszołomiony, by klaskać.

1

Barney Livingston był pierwszym chłopcem z Brooklynu, który zobaczył Laurę Castellano nago.

Pewnego sierpniowego poranka tego roku, w którym ukończył pięć lat, zawędrował na podwórko na tyłach domu, gdzie powitał go nieznajomy głos.

— Cześć!

Spojrzał w stronę sąsiedniego ogrodu. Zza płotu wyglądała jasnowłosa dziewczynka wyglądająca na jego rówieśniczkę. Poczł nagle ukłucie tęsknoty za poprzednimi mieszkańcami tamtego domu, do których należał Murray wspaniale grający w piłkę. A z tego, co słyszał, ci nowi nawet nie mieli syna.

Tak więc Barney był zdziwiony, gdy przedstawivszy się, Laura zaproponowała grę w piłkę. Niezdecydowany wzruszył ramionami na znak zgody i poszedł po swoją Spauldeen.

Kiedy po chwili wrócił z gumową piłeczką, różową jak guma do żucia marki Bazooka, Laura już stała na środku ich ogrodu.

— Jak się tu dostałaś? — zapytał.

— Przeszłam przez płot — wyjaśniła nonszalancko. — W porządku, *vámonos*, rzuć mi wysoką.

Barney, co najzupełniej zrozumiałe, był trochę wytrącony z równowagi i niezdarnie podał jej piłkę, którą Laura zręcznie złapała i energicznie mu odrzuciła. Wciąż niepokoił go fakt, że Murray miał siedem lat i nadal potrzebował pomocy w pokonywaniu płotu, który Laura najwyraźniej przeskoczyła z łatwością.

Po wyczerpującej półgodzinie Barney doszedł do wniosku, że Laura zupełnie dobrze weszła w buty Murraya (właściwie w trampki). Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów Lucky Strike i zaproponował jej jednego.

— Nie, dzięki — odpowiedziała. — Mój ojciec mówi, że mam alergię na czekoladę.

— Co to jest alergia?

— Nie jestem pewna — przyznała. — Najlepiej zapytajmy o to *papacito*. On jest doktorem.

Nagle wpadła na pomysł.

— Hej, a może zabawilibyśmy się tak w doktora i pacjenta?

— A jak się w to bawi?

— Najpierw ja zbadam ciebie, a potem ty mnie.

— To chyba nudne.

— Będziemy musieli zdjąć ubrania...

— Tak?

Może to jednak będzie interesujące.

Gabinet otwarto pod sędziwym dębem w odległym kącie ogrodu Livingstonów. Laura kazała pacjentowi zdjąć koszulkę polo w paski, żeby zbadać jego klatkę piersiową. Dokonała tego za pomocą wymyślnego stetoskopu.

— Teraz ściągać spodnie.

— Po co?

— Dalej, Barney, nie psuj zabawy!

Trochę niechętnie zdjął niebieskie spodenki i stanął przed nią w majtkach, zaczynając głupio się czuć.

— To też ściągać — rozkazała młoda lekarka.

Barney ukradkiem zerknął przez ramię, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje z domu, po czym zdjął ostatnią część swojej garderoby.

Laura obejrzała go uważnie, szczególną uwagę zwracając na wisiołek między jego nogami.

— To moja sikawka — wyjaśnił z nutką dumy w głosie.

— To mi raczej wygląda na penisa — odparła z kliniczną obojętnością. — W każdym razie jesteś w porządku. Możesz się ubrać.

Skwapliwie wykonał polecenie.

— Może teraz zabawimy się w coś innego? — zapytała Laura.

— To nie w porządku. Teraz moja kolej być doktorem.

— Dobrze.

W mgnieniu oka rozebrała się do naga.

— Oo, Lauro... a co się stało z twoim... no wiesz...

— Ja go nie mam — odpowiedziała z lekkim żalem.

— O rany, dlaczego?

W tym momencie czyjś donośny głos przerwał konsultację.

— Baaarney! Gdzie jesteś?

W tylnych drzwiach domu stała jego matka. Pospieszenie przeprosił i wyrzwał z za pnia.

— Tu jestem, mamó.

— Co tam robisz?

— Nic, bawię się z kimś.

— Z kim?

— Z Laurą, dziewczynką z sąsiedniego domu.

— Och, to ta nowa rodzina. Zapytaj ją, czy ma ochotę na ciasteczka i mleko.

Zza drzewa wyłoniła się chochlikowata buzia.

— Jakie ciasteczka? — radośnie zapytała Laura.

— Oreo i fig newton — odpowiedziała z uśmiechem pani Livingston. — Ojej, jaka słodka z ciebie dziewczynka.

. . .

Rajem ich dzieciństwa był gwarny Brooklyn pełen wesołych dźwięków: szczerku tramwajów zlewającego się z brzęczeniem dzwonek na zabawnie wymalowanym samochodzie sprzedawcy lodów. I przede wszystkim śmiechu dzieci grających w palanta, w piłkę — a nawet w hokeja na wrotkach — wprost na ulicach.

Brooklyńscy Dodgersi nie byli wtedy tylko zwykłą drużyną baseballową, lecz zespołem prawdziwych bohaterów — takich jak Duke, Pee Wee i Preacher. Był wśród nich nawet taki facet, który biegał szybciej, niżbyś zdołał wymówić jego nazwisko: Jack Robinson.

Kochali Brooklyn ze wszystkich sił.

No i co z tego, że nigdy nie udało im się pobić nowojorskich Jankesów?

. . .

W każdym razie nie w 1942 roku, gdyż wtedy Amerykanie wciąż toczyli wojnę na trzech frontach — w Europie przeciwko hitlerowcom,

na Pacyfiku przeciwko hordom Tojo i u siebie przeciwko OPA*. Była to instytucja stworzona przez prezydenta Roosevelta w celu racjonowania podstawowych artykułów dla ludności cywilnej, aby zapewnić wszystko, co najlepsze, dla wojska.

Tak więc, gdy marszałek Montgomery walczył z Rommlem pod El-Alamejn, a generał Jimmy Doolittle bombardował Tokio, Estelle Livingston walczyła w Brooklynie o dodatkowe kartki na mięso, aby zapewnić swoim synom zdrowy i prawidłowy rozwój.

Jej mąż Harold został powołany do wojska rok wcześniej. Był nauczycielem łaciny w szkole średniej i obecnie przebywał w bazie wojskowej w Kalifornii, ucząc się japońskiego. Rodzinie mógł tylko powiedzieć, że jest w czymś, co się nazywa „wywiad”. To całkiem zrozumiałe, tłumaczyła swoim synkom Estelle, gdyż tatuś istotnie zna się na wywiadówkach.

Z jakiegoś niewiadomego powodu ojciec Laury, doktor Luis Castellano, nie został powołany do wojska.

— Czy Laura jest miła, Barney? — zapytała Estelle, usiłując wepchnąć w usta młodszego syna następny kawałek mielonki.

— Taak, jest w porządku, jak na dziewczynę. No wiesz, potrafi nawet złapać piłkę. Tylko mówi jakoś śmiesznie.

— To dlatego, że państwo Castellano pochodzą z Hiszpanii, mój drogi. Musieli stamtąd uciekać.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie podobali się złym ludziom, zwanym faszystami. To dlatego wasz tatuś jest w wojsku. Żeby walczyć z faszystami.

— Czy tatuś ma karabin?

— Nie wiem. Ale jestem pewna, że jeśli będzie mu potrzebny, to prezydent Roosevelt dopilnuje, żeby go dostał.

— To dobrze, bo wtedy będzie mógł strzelić tym wszystkim złym ludziom w penisa.

Estelle, bibliotekarkę z zawodu, zawsze cieszyła przejawy coraz bogatszego słownictwa syna. Jednak tym razem jego nowy werbalny nabytek zupełnie ją zaskoczył.

— Kto ci opowiadał o penisach, kochanie? — spytała najbardziej obojętnie, jak mogła.

— Laura. Jej tato jest lekarzem. Ale ona nie ma penisa.

* OPA — Office of Price Administration.

— Co powiedziałaś, mój drogi?

— Laura nie ma penisa. Z początku jej nie wierzyłem, ale mi pokazała.

Estelle zaniemówiła. Pomieszała tylko owsiankę małego Warrena, zastanawiając się, co jeszcze Barney już wie.

. . .

Z czasem Barney i Laura przeczuli się na lepsze zabawy. Na przykład w kowbojów i Indian, amerykańskich żołnierzy i szkopów albo japońców, demokratycznie zamieniając się rolami każdego letniego dnia.

Minął rok. Wojska alianckie wkroczyły do Włoch, a jankesi na Pacyfiku odbijali Wyspy Salomona. Którejś późnej nocy brat Barneya Warren obudził się z płaczem i ponadczterdziestostopniową gorączką. Obawiając się najgorszego — okropnej letniej plagi, jaką był dziecięcy paraliż — Estelle szybko owinęła spoconego chłopca w ręcznik kąpielowy, po czym zbiegła z nim po schodkach i do domu doktora Castellano. Barney, przerażony i zmieszany, podązał tuż za nią.

Luis jeszcze nie spał. Czytał jakiś medyczny periodyk w swoim niewielkim gabinecie i na ich widok pospiesznie umył ręce przed rozpoczęciem badania. Jego wielkie, owłosione dłonie były zadziwiająco zręczne i delikatne. Barney patrzył z podziwem, jak doktor zagląda Warrenowi do gardła, a potem osłuchuje mu klatkę piersiową, przez cały czas usiłując uspokoić chore dziecko.

— Spokojnie — szeptał — tylko oddychaj, wdech, wydech, dobrze, *niño*?

Tymczasem Inez Castellano pobiegła po zimną wodę i gąbkę. Estelle stała oniemiała ze strachu. Barney trzymał się fałdów jej kwiecistego płaszcza kąpielowego. W końcu odważyła się zapytać.

— Czy to, no wie pan...?

— *Chálmate*, Estelle, to nie polio. Popatrz na tę płonicopodobną wysypkę na jego piersi, a zwłaszcza na te powiększone czerwone brodawki na języku. Nazywamy to „truskawkowym językiem”. Chłopiec ma szkarlatynę.

— Ale to też jest poważna...

— Tak, więc ktoś musi mu przepisać jakiś sulfonamid, na przykład prontosil.

— A pan nie może...?

— Nie wolno mi wypisywać recept — odparł Luis, zaciskając zęby. — Nie mam prawa wykonywania zawodu w tym kraju. No cóż, *vámonos*. Barney zostanie tutaj, a my pojedziemy taksówką do szpitala.

W taksówce Luis trzymał Warrena, ocierając mu szyję i czoło gąbką. Widząc jego pewność siebie, Estelle była spokojniejsza, choć nadal zdziwiona tym, co jej powiedział.

— Ależ, Luis, myślałam, że jesteś lekarzem. Przecież pracujesz w szpitalu, prawda?

— W laboratorium. Wykonuję badania krwi i moczu. — Umilkł i po chwili dodał: — W moim kraju byłem lekarzem i myślę, że całkiem niezłym. Pięć lat temu, kiedy tu przyjechalśmy, uczyłem się angielskiego jak wariat, ponownie przeczytałem wszystkie podręczniki i pozdawałem egzaminy. Mimo to Stanowa Komisja Medyczna nie wydała mi prawa wykonywania zawodu. Najwidoczniej nadal jestem dla nich niebezpiecznym cudzoziemcem. W Hiszpanii należałem do niewłaściwej partii.

— Przecież walczyłeś z faszystami.

— Tak, ale byłem socjalistą, a w Ameryce to coś równie *sospechoso*.

— To oburzające.

— *Bueno*, mogło być gorzej.

— Nie rozumiem?

— Mogłem wpaść w ręce frankistów.

W szpitalu natychmiast potwierdzono diagnozę Luisa i podano zasugerowane przez niego lekarstwo. Następnie pielęgniarki wymyły Warrena nasączonymi w alkoholu gąbkami, żeby obniżyć temperaturę. O piątej nad ranem uznano, że jego stan jest dostatecznie dobry, by można go zabrać do domu. Luis odprowadził Estelle i chłopca do taksówki.

— Nie jedziesz z nami? — spytała.

— Nie. *No vale la pena*. O siódmej mam być w laboratorium. Zostanę tutaj i spróbuję się zdrzemnąć w dyżurce.

. . .

— Jak znalazłem się w moim łóżku, mamusiu?

— No cóż, kochanie, kiedy wróciliśmy do domu, było bardzo późno, a ty spałeś już u Castellanów na kanapie, więc razem z Inez przeniosłyśmy ciebie i Warrena do naszego domu.

— Czy Warren dobrze się czuje? — spytał Barney, który jeszcze nie widział brata.

Estelle skinęła głową.

— Dzięki Bogu za doktora Castellano. Mamy szczęście, że jest naszym sąsiadem.

Przez ułamek sekundy Barney poczuł ukłucie zazdrości. Ojciec Laury był w domu. Czasami tęsknił za swoim tatą tak bardzo, że to naprawdę bolało.

Żywo pamiętał dzień, w którym ojciec wyjechał. Harold podniósł go wówczas do góry i przytulił do siebie tak mocno, że Barney poczuł zapach papierosowego dymu w jego oddechu. Teraz często tylko widząc, jak ktoś zapala papierosa, czuł się samotny.

Miał jednak coś na pocieszenie: małą prostokątną chorągiewkę z niebieską gwiazdą na białym tle z czerwonym brzegiem, dumnie wiszącą we frontowym oknie domu Livingstonów. Obwieszczała wszystkim przechodniom, że członek ich rodziny walczy gdzieś daleko za ojczyznę (niektóre domy miały chorągiewki z dwoma, a nawet trzema gwiazdami).

Pewnego grudniowego wieczoru, kiedy bracia wracali z cukierni ze słodkimi bułeczkami za piątką, Warren zauważył coś dziwnego we frontowym oknie państwa Cahnów — flagę, na której widniała złota gwiazda.

— Mamo, a dlaczego ich jest taka ładna? — narzekał Warren przy obiedzie.

Estelle zawahała się przez chwilę, a potem odpowiedziała cicho:

— Ponieważ ich syn... był szczególnie odważny.

— Myślisz, że nasz tatuś też zdobędzie kiedyś taką gwiazdę?

Choć poczuła, że błędnie, Estelle zdołała odpowiedzieć rzeczowo.

— W tych sprawach nigdy nic nie wiadomo, kochanie. A teraz proszę jeść te brokuły.

Kiedy kładła chłopców do łóżka, nagle uświadomiła sobie, że Barney milczał w trakcie całej tej rozmowy. Może rozumiał, że Arthur, jedyny syn państwa Cahnów, został zabity w akcji?

Później, siedząc samotnie przy stole kuchennym i udając, że zbożowy wywar to prawdziwa brazylijska kawa, przypominała sobie liczne zapewnienia Harolda, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. („Do tłumaczy się nie strzela, kochanie”). Tylko czy przepisy bezpieczeństwa nie zabraniały mu ujawnić tego, gdzie jest i co robi?

Niemal codziennie któraś z rodzin w Brooklynie otrzymywała jeden z tych strasznych telegramów.

Nagle usłyszała głos starszego syna. Brzmiał czule i pocieszająco.

— Nie martw się, mamó. On wróci.

Stał w swojej piżamce z Myszką Miki, zaledwie sześćioipółletni, lecz już przejmował inicjatywę i usiłował pocieszyć matkę. Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Skąd wiedziałeś, o czym myślałam? — spytała.

— Wszyscy w szkole wiedzą o Artiem Cahnne. Widziałem nawet, jak jedna z nauczycielek płakała. Nic nie mówiłem, bo pomyślałem, że przestraszyłbym Warrena. Ale tacie na pewno nic się nie stanie, obiecuję ci.

— Dalczego jesteś taki pewny? — zapytała.

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem — wyznał. — Ale kiedy się martwisz, jesteś smutniejsza.

— Masz rację, Barney — powiedziała, mocno go przytulając.

W tym momencie jej pocieszyciel nagle zmienił temat.

— Czy mogę wziąć sobie ciastko, mamusi?

. . .

Rok 1944 przyniósł pasmo zwycięstw. Wyzwolono Paryż i Rzym, a F.D. Roosevelt został wybrany na czwartą kadencję, co było bezprecedensowym wydarzeniem. Jakiś czas po tym, jak Amerykanie odbili Guam, Harold Livingston zadzwonił z Kalifornii do rodziny, aby im oznajmić, że wysyłają go za granicę. Nie mógł podać gdzie, ale powiedział, że będzie pomagać w przesłuchaniach japońskich jeńców wojennych. Następną wiadomość od niego dostaną przez pocztę V — te ledwie czytelne, miniaturowe listy sfotografowane na mikrofilmie i odbite potem na szarym, śliskim papierze.

Ten rok był także kamieniem milowym w życiu Luisa Castellano. Stanowa Komisja Medyczna cofnęła swoją decyzję i oznajmiła, że hiszpański uchodźca może praktykować medycynę w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Chociaż zadowolony i usatysfakcjonowany, Luis wiedział, że nie skłoniły ich do tego jego kwalifikacje, lecz fakt, że wszyscy sprawni fizycznie lekarze zostali powołani do wojska. Oboje z Inez szybko przerobili sypialnię na parterze na gabinet. Dostał pożyczkę z The

Dime Savings Bank na zakup aparatu rentgenowskiego.

— Do czego to, *papacito*? — zapytała ojca trzyletnia Isobel, gdy czwórka młodych widzów przyglądała się instalowaniu maszyny.

— Ja wiem! — zgłosił się na ochotnika Barney. — To jest do zaglądania do środka ludzi, prawda, doktorze Castellano?

— Masz rację, chłopcze — przyznał Luis, poklepując Barneya po głowie. — Jednak dobrzy lekarze mają już maszynę do oglądania wnętrza swoich pacjentów. — Wskazał palcem na swoją skroń. — Mózg jest ciągle jeszcze najlepszym narzędziem diagnostycznym.

Reputacja i praktyka Luisa rosły szybko. Szpital King's County zaoferował mu pewne usługi. Mógł teraz wysyłać próbki do laboratorium, w którym kiedyś mył próbówki.

Czasem w nagrodę pozwalano dzieciom zwiedzać jego medyczną świątynię. Barney i Laura mogli dotykać instrumentów i zaglądać do uszu młodszego rodzeństwa za pomocą wziernika, pod warunkiem że potem pozwolą, by Warren i Isobel osłuchali im klatki piersiowe stetoskopem.

Stali się nieomal jedną rodziną. Estelle Livingston była za to szczególnie wdzięczna. Jej jedyną krewną była matka, która — jeśli inne opiekunki do dzieci były nieosiągalne — przyjeżdżała kolejką podziemną z Queens, aby przypilnować Warrena, kiedy Estelle pracowała w bibliotece.

Wiedziała jednak, że chłopcy potrzebują męskiego wzorca w życiu i rozumiała, dlaczego Barney i Warren tak uwielbiali tego szorstkiego, niedźwiedziowatego lekarza. Sam Luis zaś wydawał się uradowany pozyskaniem dwóch „synów”.

Estelle i Inez bardzo się zaprzyjaźniły. W każdy wtorek wieczorem pełniły razem dyżury w obronie przeciwlotniczej, w trakcie których patrolowały ciche, ciemne ulice, pilnując, by we wszystkich domostwach pogaszono światła. I nieustannie wypatrywały na niebie nieprzyjacielskich bombowców.

Mrok zdawał się działać uspokajająco na Inez, która swobodniej wyrażała swoje myśli.

Pewnego razu gdy Estelle zapytała zdawkowo, czy nie przeszkadza jej brak snu, zaskoczyła ją odpowiedź Inez.

— Nie. Przypomina mi to stare, dobre czasy. Jedyna różnica to, że teraz nie mam karabinu.

— Ty też walczyłaś?

— Tak, *amiga*, i wcale nie byłam jedyną kobietą. Dlatego że Franco miał za sobą nie tylko hiszpańskie oddziały, ale i *regulares* — najemników z Maroka, którym płacił za brudną robotę. Naszą jedyną nadzieją był szybki atak i ucieczka. Tych rzeźników było tak wielu. Jestem dumna z tego, że kilku z nich zabiłam.

Nagle zorientowała się, że przyjaciółka jest wstrząśnięta.

— Spróbuj zrozumieć — dodała — ci dranie mordowali dzieci.

— No cóż, rozumiem twój punkt widzenia... — niepewnie odpowiedziała Estelle, usiłując oswoić się z myślą, że ta cicha kobieta, stojąca przy niej, zabiła człowieka.

Jak na ironię, oboje rodzice Inez byli nie tylko zagorzałymi prawicowymi zwolennikami Franco, ale także Opus Dei, organizacji wewnątrzkościelnej popierającej dyktatora. Kiedy ich jedyna córka, płonąć socjalistycznym idealizmem, opuściła dom, żeby przyłączyć się do oddziału republikańskiej milicji, przeklęli ją i wydziedziczyli.

— Nie miałam już nikogo na świecie — tylko mój karabin i sprawę. Tak więc w pewnym sensie ta kula przyniosła mi szczęście.

Jaka kula? — zastanawiała się Estelle. Wkrótce jednak się dowiedziała.

Podczas oblężenia Malagi Inez i kilku innych lojalistów wpadli w zasadzkę w drodze do Puerta Real. Kiedy odzyskała przytomność, spoglądała na zarośniętą twarz młodego, krępego doktora, który przedstawił się jej jako „towarzysz Luis”.

— Już wtedy był osobowością. Oczywiście nie mieliśmy mundurów, ale Luis zdawał się robić wszystko, żeby wyglądać jak wieśniak. — Roześmiała się. — Nie sądzę jednak, żeby kiedykolwiek brakowało mu pracy. Było tylu rannych. Jak tylko wstałam z łóżka, zaczęłam mu pomagać. Nawet po wielogodzinnej pracy nigdy nie tracił poczucia humoru. Właściwie tylko tyle mogliśmy ze sobą zabrać, kiedy uciekliśmy. Ledwie zdążyliśmy się przedostać do Francji, zanim zamknięto granicę.

. . .

Kiedy zaczęła się szkoła, Barney z Laurą znaleźli się w tej samej trzeciej klasie w Szkole Podstawowej nr 148. Paradoksalnie to, że byli teraz w grupie trzydziściorga innych dzieci, jeszcze bardziej ich zbliżyło. Laura odkryła, jakim cennym przyjacielem jest Barney, ponieważ on już umiał czytać.

Bo przecież Estelle i Harolda Livingstonów połączyła miłość do książek. Od kiedy ukończył trzy lata, na zmianę uczyli go czytać. W nagrodę czytali mu głośno opowiadania z *Mitologii Bullfincha* lub wiersze z *Dziecięcego ogrodu poezji*. To podejście przyniosło efekty. Apetyt Barneya na książki był nieomal równie nienasycony, jak jego zapotrzebowanie na wafle waniliowe. W rezultacie był teraz w stanie, siedząc na frontowych schodach, wtajemniczać Laurę w zawilności tak nieśmiertelnej klasyki, jak *Patrz, jak biegnie Spot*.

W odpowiednim czasie Barney zażądał rewanżu. Na siódme urodziny matka podarowała mu zestaw do koszykówki wraz z tarczą, obręczą i prawdziwą siatką, która wydawała głośny świst przy każdym celnym rzucie. Wieczorem w dniu poprzedzającym przyjęcie Luis zaryzykował życie i całość kończyn, przybijając to wszystko do dębu Livingstonów na przepisowej wysokości trzech metrów.

Barney wydał głośny okrzyk radości i obwieścił:

— Lauro, musisz mi pomóc ćwiczyć. Jesteś mi to winna.

Jej pomoc obejmowała udawanie obrońcy przeciwnej drużyny i blokowanie rzutów Barneya do kosza. Ku jego zdziwieniu Laura była w tym aż za dobra. Zdobywała prawie tyle samo punktów co on. I chociaż on wciąż rósł, to ona nadal była od niego wyższa.

. . .

Niemcy skapitulowali 7 maja 1945 roku i z końcem lata Japonia poddała się również. Nigdzie radość z tego powodu nie była tak duża jak w domu Livingstonów przy Lincoln Place, gdzie Barney, Warren i Estelle paradowali wokół stołu kuchennego, śpiewając *Kiedy tatuś przymaszeruje wreszcie do domu*. Nie widzieli go ponad trzy lata.

. . .

Harold Livingston wrócił do domu. Jednak niemarszowym krokiem. W istocie jego chód był powolny, a chwilami wręcz niepewny.

Popychani i potrącani nieustannie przez tłum innych żon i dzieci Estelle i obaj chłopcy czekali z zapartym tchem na przyjazd pociągu. Zanim jeszcze zdążył się zatrzymać, niektórzy żołnierze wyskoczyli na peron i biegli co sił w nogach do swych ukochanych.

Barney stał na palcach. Jednak nie widział żadnego żołnierza, który choć trochę przypominałby mu tego ojca, którego widywał w snach.

— O tam! To on! — zawołała nagle matka.

Pomachała komuś stojącemu na końcu peronu, Barney spojrział we wskazanym kierunku, ale nie zobaczył nikogo. To znaczy nikogo, kto by odpowiadał jego wspomnieniom o Haroldzie Livingstonie.

Zobaczył zwyczajnego mężczyznę, średniego wzrostu, z początkami łysiny. Kogoś bladego, wychudzonego i zmęczonego.

Ona się myli — pomyślał. To nie może być tato. Na pewno nie.

Estelle nie mogła powstrzymać się dłużej.

— Haroldzie! — krzyknęła i podbiegła, aby go objąć.

Barney stał, trzymając Warrena za rękę, i patrzył. Nagle uświadomił sobie, że matka nigdy przedtem nie zostawiła ich samych.

— Czy to nasz tatuś? — zapytał mały Warren.

— Chyba tak — odpowiedział Barney wciąż trochę niepewny.

— Myślałem, że jest większy od doktora Castellano.

Barney o mało nie powiedział, że też tak myślał.

Teraz byli razem, wszyscy czworo. Estelle wciąż trzymała męża pod rękę.

— Barney, Warren, ależ urośliście! — powiedział z dumą Harold Livingston, obejmując starszego syna. Barney rozpoznał znajomy zapach papierosowego dymu.

Mimo tłumy na zewnątrz jakoś udało im się znaleźć taksówkę z bardzo patriotycznym kierowcą.

— Witaj w domu, żołnierzu! — wykrzyknął. — Pokazaliśmy tym szwabom, no nie? — triumfował taksówkarz.

— Mój mąż służył na Pacyfiku — dumnie sprostowała Estelle.

— Och, szwabcy, japońcy — co to za różnica? To wszystko kupa cholernych zawszonych łobuzów. Powiedz mężowi, że zrobił dobrą robotę.

— Czy udało ci się kogoś zabić? — zapytał z nadzieją w głosie Warren.

— Nie, synu — odparł powoli Harold. — Pomagałem tylko tłumaczyć, kiedy przesłuchiwalimy jeńców... — Głos uwiązł mu w gardle.

— Nie bądź taki skromny, pozwól dzieciakom być dumnym z ojca. Widzę, że byłeś na wielu akcjach, skoro dali ci Purpurowe Serce. Bardzo ci się dostało, kolego?

Barney i Warren popatrzyli na siebie szeroko otwartymi oczyma, ale Harold natychmiast rozwiązał te bohaterskie iluzje.

— To nie było nic takiego. Tylko pocisk artyleryjski, który upadł

tuż obok naszego namiotu. Przez jakiś czas byłem trochę rozklekotany, ale teraz już jestem w porządku. Powinienem ściągnąć te przekłete bandażę przed przyjazdem. Najważniejsze, że znów wszyscy jesteśmy razem.

Jednak jego protesty tylko potwierdziły to, co Estelle wyczuła w chwili, gdy zobaczyła go na peronie. Harold był bardzo chory.

. . .

Luis Castellano czekał w oknie, kiedy przed dom Livingstonów zajechała taksówka. Natychmiast razem ze swoją rodziną wyszedł na ulicę i zamknął Harolda w niedźwiedzim uścisku.

— Przez tyle lat mówiłem do twojej fotografii na kominku! — wyjaśnił. — Czuję się tak, jakbyś był moim dawno zaginionym bratem!

. . .

Ta noc na zawsze utkwiała Barneyowi w pamięci. Słyszał ich głosy, chociaż znajdował się na drugim końcu korytarza, a drzwi ich pokoju były zamknięte.

Matka wciąż płakała i pytała głosem oscylującym pomiędzy gniewem a rozpaczą:

— Czy możesz mi to wyjaśnić, Haroldzie? Co to znaczy „trzydziestoprocentowe inwalidztwo”?

Ojciec usiłował ją pocieszyć.

— To nic takiego, kochanie. Zapewniam cię, że nie ma się czym martwić.

A potem nastała cisza. Z sypialni rodziców nie dobiegały już żadne odgłosy. Barney patrzył z głębi korytarza na ich drzwi, zastanawiając się.

. . .

Przy śniadaniu Barney przyglądał się twarzom rodziców, lecz nie zdołał z nich wyczytać, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. I widok matki, krzątającej się przy kimś niemal zupełnie obcym, budził w nim jakieś dziwne, niezrozumiałe uczucia. Wyszedł wcześniej po Laure, żeby mieć dużo czasu na rozmowę w drodze do szkoły.

Gdy tylko zostali sami, zwierzył się jej.

— Boję się. Sam nie wiem czemu, ale mój ojciec jest jakiś inny. Myślę, że może być chory.

— Wiem.

— Wiesz?

— Jak tylko wróciliśmy wczoraj do domu, papa zabrał mamę do swojego gabinetu i mówił jej o czymś, co nazywa się *neurosis de guerra*.

— Co to znaczy po angielsku? — zapytał zaniepokojony Barney.

— Barney, ja nawet nie wiem, co to znaczy po hiszpańsku — przyznała.

. . .

Tego popołudnia Estelle Livingston siedziała za biurkiem w wypożyczalni Grand Army Plaza będącej jednym z oddziałów brooklyńskiej biblioteki publicznej, gdy podniosła oczy i zobaczyła Barneya i Laurę przeglądających półki w dziale medycyny. Zaprosiła ich do swojego biura na zapleczu, gdzie mogli swobodnie porozmawiać.

— Proszę was, nie martwcie się — powiedziała, siląc się na uspokajający ton. — On nie był ranny. Doznał tylko lekkiego wstrząsu w wyniku eksplozji. Pocisk wybuchł bardzo blisko i po czymś takim człowiek powoli wraca do siebie. W następnym semestrze znów będzie uczył.

Odetchnęła głęboko.

— Czy teraz czujecie się trochę lepiej? — spytała.

Dzieci w milczeniu kiwnęły głowami. A potem pospiesznie wyszły.

. . .

Tak jak obiecała Estelle, jesienią Harold Livingston powrócił do swoich pedagogicznych obowiązków w Erasmus Hall. I tak jak dawniej uczniowie uważali go za czarującego i dowcipnego. Potrafił ich zainteresować nawet dziełem Cezara *O wojnie galijskiej*. Wydawał się znać na pamięć całą literaturę klasyczną.

A mimo to czasem zapominał zrobić zakupy w drodze ze szkoły do domu — nawet jeśli Estelle włożyła mu ich listę do kieszeni marynarki.

Odkąd dostał swój koszykarski sprzęt, Barney marzył o dniu, w którym zagra z ojcem.

Podczas długiej nieobecności Harolda Barney nieustannie wypytywał matkę o to, jaki ojciec był za dawnych czasów. Pewnego

razu słuchał wspomnień Estelle o lecie przed jego urodzeniem. Byli wówczas w Białych Górach, w ośrodku wypoczynkowym nad jeziorem, gdzie akurat zorganizowano turniej tenisowy dla gości.

— Harold postanowił spróbować, tak dla hecy. Na studiach był wspaniałym graczem, chociaż naturalnie Uniwersytet Nowojorski nie miał wówczas drużyny tenisowej. W każdym razie Harold pożyczył rakietę, pomaszerował na kort i ani się obejrzałam, jak znalazł się w finałach! Pokonał go dopiero instruktor wychowania fizycznego z miejscowego college'u, a i tak miał szczęście, że Harold nie był tego dnia w formie. Powiedział mu wówczas, że gdyby traktował to poważnie, to mógłby zostać drugim Billem Tildenem. Możesz to sobie wyobrazić?

Barney nie miał pojęcia, kim był Bill Tilden, ale z pewnością mógł sobie wyobrazić mężczyznę z fotografii na kominku ubranego w biały strój do tenisa, zapamiętałe tłukącego małą piłeczkę. Tak często marzył o dniu, w którym pokaże ojcu swoje sportowe umiejętności. I teraz w końcu ta chwila była bliska.

— Czy widziałeś tę tablicę, którą doktor Castellano zawiesił na drzewie? — pozornie od niechcenia spytał ojca pewnej soboty jako rodzaj wstępu.

— Tak — odpowiedział Harold. — Wygląda bardzo profesjonalnie.

— Czy chciałbyś może porzucać ze mną i Warrenem do kosza?

Harold westchnął i odpowiedział cicho:

— Nie sądzę, żebym zdołał dotrzymać kroku takim dwóm zawodnikom jak wy. Ale wyjdę i popatrzę.

Barney i Warren pobiegli założyć tenisówki, a potem podryblowali na „boisko”.

Pragnąc pochwalić się swoją zręcznością przed ojcem, Barney zatrzymał się pięć metrów przed koszem, podskoczył i rzucił piłkę. Ku swemu ogromnemu rozczarowaniu nie trafił. Pospieszenie odwrócił się i wyjaśnił:

— To była tylko rozgrzewka, tatusiu.

Oparty o drzwi do ogrodu Harold Livingston skinął głową, zaciągnął się głęboko papierosem i uśmiechnął się.

Barney z Warrenem zdołali umieścić w koszu zaledwie kilka piłek (Dobra, szybka akcja, prawda, tato?), kiedy zza płotu dał się słyszeć czyjś zirytowany głos.

— Do licha, co się dzieje, chłopaki? Dlaczego gracie beze mnie?